



Tomasz Cukiernik
 ekspert Instytutu Globalizacji
 i Stowarzyszenia Koliber,
 Doktorant na Wydziale Ekonomii
 i Stosunków Międzynarodowych
 Uniwersytetu Ekonomicznego
 w Krakowie

Obliczył Pan wydatki, jakie musi ponieść strona polska, żeby uzyskać dotacje unijne. Jakie są Pana wnioski?

Generalny wniosek jest taki, że koszty pozyskania dotacji unijnych na lata 2007-13 grubo przekraczają wartość tych dotacji.

Czy mógłby Pan wyjaśnić, co dokładnie zaliczył Pan do kosztów strony polskiej?

Grażyna Gęsicka, posłanka PiS i była minister rozwoju regionalnego, powiedziała niedawno, że w 2008 r. rząd PO pozyskał rekordowo mało środków „na czysto”, czyli po uwzględnieniu składek, które Polska odprowadza do unijnej kasy. Niestety składka unijna (ok. 22 mld euro w latach 2007-13) to nie wszystkie koszty, jakie ponosi Polska, by móc korzystać z unijnych pieniędzy.

Ogromne są koszty biurokracji, która istnieje tylko na potrzeby pozyskiwania dotacji. Co chwilę słyszymy, że Ministerstwo Finansów czy Ministerstwo Edukacji zwiększa zatrudnienie, by

sprawniej pozyskiwać dotacje, a proszę mi wskazać jakikolwiek urząd samorządowy w Polsce, gdzie nie pracują ludzie zajmujący się wyłącznie dotacjami – to są ogromne wydatki.

Kolejne koszty stanowi konieczność przygotowywania wniosków przez firmy czy urzędy (także tych wniosków, które zostaną odrzucone), jak również koszty prefinansowania i współfinansowania projektów.

Nie można też zapominać o kosztach implementacji unijnego prawa na gruncie polskim. Według raportu Stowarzyszenia Europejskich Izb Handlowych i Przemysłowych Eurochambers, w latach 1998-2008 unijne regulacje kosztowały Polskę 28,4 mld euro. Z kolei raport „Poza kontrolą” brytyjskiego think tanku OpenEurope, mówi, że unijne regulacje kosztują Polskę 4,84 mld euro rocznie, co oznacza 127 euro na każdego mieszkańca naszego kraju (wliczając niemowlaki, bezrobotnych i emerytów). Ta suma to około 3,8 proc. wydatków publicznych Polski w 2009 r. i 37 proc. wartości rocznych dotacji unijnych dla kraju. Tylko by sprostać unijnym wymogom w zakresie norm ochrony środowiska, na inwestycje Polska musi wydać kilkadziesiąt miliardów złotych! Gdyby Gęsicka uczciwie policzyła te wszystkie koszty, to z pewnością wyszło by jej, że „na czysto” jest duży minus.

Nie da się jednak ukryć, że od momentu przyznania nam dotacji unijnych tempo inwestycji infrastrukturalnych znacznie wzrosło. Zwłaszcza

samorządy potrafią dobrze wykorzystać te środki. Może warto ponieść dodatkowe koszty?

Jest to błędne rozumowanie. To prawda, że w Polsce w dużej mierze beneficjentami unijnej pomocy są podmioty publiczne, takie jak jednostki samorządu terytorialnego. Jest to wyraźny sygnał, że to właśnie urzędnicy, a nie podmioty prywatne, powinny się zajmować inwestycjami, mimo oczywistych wad takiego rozwiązania.

Według prawa sformułowanego przez amerykańskiego prof. Emmanuela Savasa „sektor prywatny jest zawsze dwa razy tańszy niż sektor publiczny przy wykonywaniu tych samych prac w służbie publicznej”. Inwestycje za państwowe pieniądze są zwykle nietrafione. Gdyby były one opłacalne, to prywatni przedsiębiorcy, wierząc możliwość zysku, dużo wcześniej sami podjęliby ryzyko danej inwestycji. Jak zauważyła Marzena Chmielewska, przedstawicielka PKPP „Lewiatan”, środki unijne uzyskują te projekty, które są najsprawniejsze formalnie, a nie te, które mają największą wartość merytoryczną.

Ponadto jak napisał amerykański ekonomista Henry Hazlitt, skutkiem subwencji jest to, „że kapitał i pracę wyprowadza się z przemysłów, w których mogą pracować bardziej wydajnie, a kieruje do przemysłu, w którym są mniej efektywne. Wytwarza się mniej bogactwa. Przeciętny standard życia obniża się w porównaniu z tym, jaki byłby możliwy”. Tak więc na istnieniu unijnych dotacji, globalnie traci zarówno gospodarka polska, jak i unijna.